ROZMAITOŚCI.

Dnia 11. Marca. № 16. Roku 1837.

ZEMSTA ZZA GROBU.

(Dokończenie.)

Uczucie to było tak czyste i tak głębokie; między mną a Henryką leżał tak wielki przedział, iż nie tłumiłem go w sobie bynajmniej, nie przewidując ani przyszłych cierpień, ani przyszłej burzy i walki.

Po zupełnem wyzdrowieniu używałem każdego poranku przejażdżki z Marcellim. Po powrocie do zamku udawaliśmy się do pokojów hrabiego, który w towarzystwie córki a częstokroć i miejscowego proboszcza lub kogoś z sąsiedztwa, czekał nas ze śniadaniem. Tu spędzaliśmy razem kilka godzin w żywej rozmowie, w której Henryka okazywała tyle dowcipu i powabów, tyle wrodzonej sobie poezyi, zmieszanej z wyrazem łagodnego smutku, że Marcelli nie posiadał się od radości z tego stopniowego rozbudzania się życia w kochanej siostrze, a ja upajałem się uczuciem najżywszego podziwu i zachwycenia.

W południe wyjeżdżała Henryka z ojcem lub bratem do wsi, do pobliskich chat i folwarków, niosąc wszędzie pomoc nieszczęśliwym, pocieszenie strapionym. Po powrocie z takich wycieczek tchnęła cała postać młodej dziewczyny wyrazem jakiejś nadziemskiej słodyczy, a Marcelli mimo dziesięcioletniego przebywania wśród obozów i bojów musiał nieraz z trudnością ukrywać łzę w oku.

Wieczór spędzaliśmy znowu razem, zajęci bądźto jakąś poważną rozmową, bądź głośnem czytaniem budujących utworów Chateaubrianda, Bossueta, Józefa de Maistre i pani de Sevigné.

W taki sposób przeminęła zima.

Pewnego poranku, odchylając okno, uczułem z miłem zdziwieniem żywszy i cieplejszy promień słońca, przedzierający się przez firanki, i owiało mię łagodne tchnienie powietrza, zmieszanego z wonią polnych róż, lilij i głogów.

Dalekie szczyty Alpów nie zrzuciły jeszcze swoich śnieżnych zawojów, lecz za to małe wzgórza i wyżyny, okalające Montmeillan, wychylały już na wpół zielone grzbiety zpod mglistej powłoki.

Słowik nucił w pobliskich krzewach, wróble świegotały radośnie pomiędzy gałązkami chmielu i dzikich szczepów winnych; tysiące głosów różnych, tysiące różnych zapachów napełniały odżywającą naturę. Byłato wiosna — byłto świat, który do nowego przygotowywał się życia.

A życie to przejęło całą moją istotę dreszczem rozkoszy i zachwycenia. Widząc wokoło siebie odrodzenie wszystkiego, co na jakiś czas pogrążyło się było w otrętwieniu zupełnem, zapytałem siebie po raz pierwszy, czy wśród tego ogólnego zmartwychwstania natury, samo tylko zamarłe serce ludzkie ma pozostać na zawsze martwem i nieczułem, obcem powszechnemu odmłodnieniu przyrody? Czy tylko miłość i nadzieja, raz zwiędłe w sercu, raz zatarte w pamięci, nie mogą już nigdy nowem zakwitnąć życiem na wzór tych roślin drobnych, wydobywających się za pierwszem tchnieniem wiosny zpod swojej śnieżnej zamieci.

Od tego momentu zacząłem cierpieć na nowo.

Trzy miesiące mego pobytu w zamku hrabiego, szlachetne obyczaje moich gospodarzy, towarzystwo Marcellego i Henryki, codzienne z nimi rozmowy rano, czytywania w wieczór i w ogóle całe to życie tak patryarchalne a tak przytem światowe, łączące wytworność wyższego towarzystwa z zacną prostodusznością wiejską i wspaniałą harmonią samotności; życie to wpłynęło niewymownie trwale i silnie na całą moją istotę.

Nowe powtórne przeistoczenie odbyło się we mnie w ciągu tego czasu.

Nie zmieniał się tu już dziki wychowanek lasu i puszczy, młodzian gwałtownych i rubasznych obyczajów, w człowieka ucywilizowanego, lecz człowiek otarty w świecie, obeznany z prawami cywilizacyi, przechodził resztę stopni moralnego wychowania i uszlachetnienia serca i umysłu, zaczynał pojmować

wszystkie odcienia, wszystkie skarby wzniosłej duszy, ulegając zupełnie urokowi ideału, którego typ znachodziłem w osobie Henryki.

Ale cóż za bolesna i okrutna sprzeczność! Im większe postępy czyniłem w mojem nowem wykształceniu moralnem, a temsamem im namiętniej lgnąłem sercem do mego ideału, tem wyraźniej codziennie poznawałem, jak niegodzien jestem Henryki.

To moje przeistoczenie się wewnętrzne, zbliżające mię na pozór do Henryki, w rzeczy niezmiernie od niej mię oddalało, tworząc jakiś nieprzebyty przedział pomiędzy nami. I słusznie sobie nieraz myślałem, że w chwili kiedy dusza moja stanie moralnie na równi z jej duszą, będę musiał zrzec się na zawsze wszystkich marzeń dzisiejszych.

Owoż w tymsamym momencie, w którym zagadnąłem sam siebie, dlaczegoby złamane raz serce ludzkie nie miało odrodzić się do nowego życia i nowego uczucia, w tymsamym momencie zaszczepił się pierwszy zaród zwątpienia w moje serce.

A Henrykaż odgadywała moje uczucia? Nie przyszłoż jej także na myśl, iż serce, złomane już raz cierpieniem, może z czasem do nowego odrodzić się życia, i nowym wystrzelić kwiatem? Nie czułaż nic więcej ku mnie jak tylko prostą przyjaźń i wdzięczność za ocalenie brata?

Długo nie mogłem dać sobie żadnego w tej mierze wyjaśnienia. Nagle dwie ważne i pamiętne chwile wyrwały mię stanowczo z wątpliwości.

O te dwie chwile! to dwa wspomnienia cudowne, dwie perły niebiańskie, dwie krople rosy różanej, które błysnęły na chwilę w promieniach miłości, a dziś zmieniły się w dwie łzy gorzkie, gorące.

Dnia 28 czerwca, w przeddzień moich imienin, zapytał Marcelli siostrę z żartobliwym uśmiechem, jaki upominek poświęci mi na wiązanie.

Zachwycający rumieniec rozlał się na to zagadnienie po licu młodej dziewczyny.

— „Przyjacielowi nic“ — odpowiedziała z zachwycającą naiwnością — „ale przygotowuję coś dla ciebie samego. Bo nie wszystkoż to jedno? Jesteście sobie przecież braćmi obadwaj.“

— „Tak jest, kochana siostro, jeśli na to pozwolisz“ — odpowiedział Marcelli ze śmiechem, kładąc mocniejszy przycisk na ostatnie ze swoich słów.

Podczas tej krótkiej rozmowy owładnęło mię tak silne wzruszenie, że musiałem się wesprzeć na ramieniu Marcelego, nie mogąc w żaden sposób utaić głębokiego zmieszania w twarzy.

Nazajutrz rano przechadzałem się z Marcellim po ogrodzie tuż pod oknami Henryki. Pogoda była prześliczna, ani jedna chmurka nie ciemniła błękitu nieba, powietrze napełniała urocza cisza, zwiastująca dzień skwarny i pogodny.

Próbowaliśmy obadwaj zacząć jakąkolwiek rozmowę, lecz wszelkie usiłowania nie wiodły się mimo naszych chęci najszczerszych. Tkwiły nam obudwom w pamięci słowa Henryki, i nie posiadaliśmy się z ciekawości, czem zamyśliła ona obdarzyć brata w uroczystość moich imienin.

Wtem nagle odchyliło się okno jej pokoju, a po chwili ukazała się ona sama, witając nas ręką, uśmiechem i spojrzeniem.

Nie mogłem stłumić w sobie wykrzyku radości i podziwienia: po raz pierwszy od sześciu lat nie była Henryka w żałobie!

Biała lub różowa suknia na osobie kochanej, którą dotąd widzieliśmy tylko w ponurych szatach żałoby — to najjawniejszy znak nowej wiosny jej duszy, uwalniającej się od znamion smutku i płaczu, aby pod balsamicznem tchnieniem uczucia odrodzić się do nowego życia.

Na widok Henryki w stroju odpowiednim jej młodości i urodzie, tak żywe i gwałtowne zatrzęsło mną wzruszenie, że Marcelli uczuł litość nad moim stanem, i zwracając się ku siostrze, zawołał z radosną niecierpliwością:

— „O, pójdźże, pójdźże do mnie, niech cię uściskam, droga Henryko!“

W jednej chwili była Henryka w naszem towarzystwie.

Ach, jakże wyglądała piękna, przemieniona z smętnej wdowy w młodą dziewicę, jaśniejącą blaskiem piękności. Dwadzieścia lat życia byłbym poświęcił chętnie w tej chwili, gdybym miał był prawo upaść jej do nóg.

Niebawem wybiegł do ogrodu i stary hrabia, a nie posiadając się od radości na widok niespodziewanego przebrania córki, obsypywał ją najczulszemi pieszczoty, a na mnie rzucił spojrzenie pełne przyjaźni i wdzięczności.

Zadrżałem, pobladły od wzruszenia. To uroczystość moich imienin sprawiła taką zmianę w Henryce!

Taka była pierwsza ważna i pamiętna chwila mojego pobytu w zamku hrabiego.

Odtąd weszłem w ściślejszy jeszcze związek z wszystkiemi spółmieszkańcami moimi. Ojciec Henryki objawiał mi przy każdej spo-

sobności coraz serdeczniejszą życzliwość, i sama też Henryka do coraz większej ośmielała mię zażyłości.

Nie odzyskała ona wprawdzie zupełnej jeszcze swobody; obraz Alberyka nie zatarł się jeszcze do szczętu w jej pamięci, wszakże z całego jej zachowania się łatwo było poznać, iż coraz bardziej wolniało brzemię jej smutku, a wspomnienie pierwszej miłości z każdym dniem łagodniejszy przybierało charakter.

Teraz dopiero zawrzała w mojem wnętrzu najokropniejsza walka miłości i sumienia. Wolnoż mi było bez naruszenia praw honoru, bez popełnienia występku, korzystać z tej jawnej, acz jeszcze bardzo wątłej, skłonności Henryki ku mnie? Mogłem zataić przed nią okropny udział, jaki wziąłem w nieszczęsnym losie Alberyka?

Wśród tak srogiej walki uczuć i myśli, wnet miłość przytłumiła głos sumienia, wnet przeciwnie słuszność i prawość brały górę tem bardziej, ile że wnosząc z słów Marcellego i z moich własnych spostrzeżeń, powątpiewała jeszcze Henryka o śmierci narzeczonego, a ta wątpliwość nietylko wielkiem dla niej była udręczeniem, ale także stała największą zawadą dla wszelkiej miłości nowej.

Odemnie zależało zniweczyć tę nieszczęsną wątpliwość; lecz ważąc się tego zadania, nie musiałżem wyjawić, że ja to sam zabiłem Alberyka? Wypadało albo do niecnego uciec się kłamstwa, albo wszystkie nadzieje i marzenia zatopić w potoku krwi, który przeszłość tajemnicza rozlała między mną a Henryką.

Takie myśli miotały od kilku już miesięcy moją duszą, przejmując mię coraz sroższem udręczeniem, pogrążając mię w coraz boleśniejsze zwątpienie. W ciągu tego czasu, było to jak dobrze pamiętam dnia 20 września, wybrał się stary hrabia na polowanie, a Marcelli, dla jakichś ważnych spraw odjechał był na dni kilka do miasta.

Byłem sam jeden z Henryką. Po śniadaniu zbliżyła się do mnie z czarującym uśmiechem, i zapytała, czy zechcę jej towarzyszyć w codziennej wycieczce do wsi.

Trudne do opisania wzruszenie nie dało mi zdobyć się na jakąkolwiek odpowiedź. Podałem jej tylko ramię w milczeniu.

Jakgdyby sama natura chciała sprzyjać naszej przechadzce, prześliczna panowała pogoda. Niebo było jasne i wesołe, powietrze ciche i łagodne, jak zwykle w porze kiedy przeminęły już skwary lata, a nie zaczęła się jeszcze smutna i głucha jesień.

Z lasów i wzgórz, z łąk i pól, wiała jakaś woń balsamiczna, którą świeże tchnienie dalekich gór jakąś uzdrawiającą zaprawiało rzeźwością. Śnieżne szczyty Alp co chwila mieniły barwy pod wpływem promieni słońca, które i w najposępniejsze widoki wlewają nieco z swojego światła i życia. Od tych śnieżnych szczytów, przerzniętych błękitem nieba, zniżały się ku nam góry, wnet szeregiem malowniczych odłamów, wnet kupą stromych skał i urwisk. Stopy gór opasywały ciemne smugi dąbrów i lasów jodłowych.

Ścieżka, którąśmy szli, wiła się wężykiem wśród okolicy, przedstawiającej się co chwila to w wesołych to w melancholijnych zarysach.

Już od godziny prawie towarzyszyłem Henryce, a zaledwie kilka słów wymieniliśmy z sobą. Bo i cóż zresztą moglibyśmy byli powiedzieć sobie, coby zdołało wyrównać temu przecudnemu poematowi ziemi i słońca przed nami, i temu wspaniałemu hymnowi szczęścia i miłości, który brzmiał w naszych sercach.

Weszliśmy wreście do wsi. Tym razem wybrała się Henryka do chaty pewnego zubożałego wieśniaka, którego żona powiła właśnie syna. Dziecię to stało się było rodzicom przyczyną smutku i płaczu, bo właśnie w dzień jego urodzenia musiał nieszczęśliwy ojciec sprzedać ostatni kawał gruntu. Na szczęście, dowiedziano się w zamku o smutnem położeniu rodziców. Aby jałmużną nie obrazić dumy poczciwego wieśniaka, wprosiła się Henryka za chrzestną matkę do nowonarodzonego, a miasto krzyżma włożyła mu do kołyski kontrakt odkupna gruntu, który ojciec sprzedał przed kilką dniami.

Codziennie potem odwiedzała Henryka swojego pochrześnika, przyjmowana zawsze od rodziców łzami wdzięczności i uwielbienia. O, nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie wywarło na mnie zachowanie się tych poczciwych ludzi podczas odwiedzin moich z Henryką.

Ojciec ocierał co chwila łzę, i jakieś niezrozumiałe bełkotał słowa; matka podniosła się cokolwiek na łożu, i wyciągnęła ku nam ręce złożone, jakgdyby chciała modlić się za tę, która uchroniła ją od nędzy i rozpaczy.

Przyniesiono nareście dziecię.

— „O, mój Pawle!“ — zawołała matka, przyciskając je z uczuciem do piersi.

Na to imię zadrżałem z radości i wzruszenia. Paweł!... Henryka, chrzestna matka tego dziecięcia, nazwała je Pawłem!

Rzuciłem na nią spojrzenie niewymownej wdzięczności. Ona się mocno zarumieniła.

Po chwili opuściła wraz ze mną chatę. Kilka chwil szliśmy obok siebie w milczeniu. Nagle zatrzymałem się, i nie mogąc powściągnąć dłużej uczuć wezbranych, zawołałem wzruszonym głosem:

— „Pani! kocham cię!“

— „Gdybym cię wzajemnie nie kochała, nie bylibyśmy tutaj sami“ — odpowiedziała mi zcicha, schylając głowę na piersi.

Pochwyciłem ją za rękę, i cisnąc ją do bijącej gwałtownie piersi, zacząłem iść dalej. Wielu starców, zmarłych w setnych leciech, nie przeżyło ani w połowie tyle, ile ja przeżyłem w ciągu pierwszych kilku chwil po wyznaniu miłości Henryce.

Stanęliśmy obok małego domku, który małym, prześlicznym otoczony ogródkiem, przypierał do samego gościńca.

Kiedyśmy przechodzili poprzednio tędy, zdawało mi się że Henryka przyspieszyła umyślnie kroku, i nagle zasępiła się w twarzy. Tym razem uczułem, że im bardziej zbliżaliśmy się ku temu wcale przyjemnemu mieszkaniu, tem mocniej drżało jej ramię.

Chciałem ją zapytać o powód tego nagłego wzruszenia, gdy wtem z głębi ogródka wysunął się jakiś staruszek, z którego ruchów i całej postawy można było poznać z łatwością starego żołnierza, przyodzianego od niedawna w suknie wieśniacze.

Ujrzawszy nas wyprężył się z nałogową sztywnością, i odkrywając głowę, zmierzył nas spojrzeniem na poły zdziwionem, na poły obraźliwem.

— „Dzień dobry, Janie!“ — rzekła do niego Henryka nieco stłumionym głosem.

— „Witam panią“ — odpowiedział dawny żołnierz z uroczystą a zarazem cokolwiek rubaszną miną.

Henryka zatrzymała się, jakgdyby chcąc z nim pomówić. On tymczasem wlepił we mnie tak uporczywe i badawcze spojrzenie, że mimowolnie spuściłem na dół oczy.

Jan zmarszczył czoło, a twarz jego przybrała surowy i prawie groźny wyraz. Potem odwrócił się odemnie, i wpatrzył się w Henrykę z osobliwszym wyrazem przywiązania, szacunku, boleści i wyrzutu.

Staliśmy ciągle nieporuszeni na miejscu. Henryka chciała widocznie zagadnąć czemś nieznajomego, lecz nie mogła znaleźć stosownych słów. Przyjaznym tedy uśmiechem osłaniając niezręcznie swoje zakłopotanie, postąpiła cokolwiek naprzód, i rzekła:

— „Bądź zdrów, mój Janie!“

— „Żegnam panią“ — odpowiedział stary żołnierz, wykręcając się na piętach po wojskowemu.

W tej chwili jakiś domysł przemknął mi nagle przez głowę. Przypomniałem sobie że w listach Alberyka do Henryki powtarzała się kilkakrotnie wzmianka o starym żołnierzu Janie, który właśnie na krótki czas przed śmiercią Alberyka odwoził od niego kwiaty dla narzeczonej we Francyi.

Nie śmiałem już ująć ramienia Henryki. Widok tego człowieka przypomniał mi jaskrawo otchłań, przedzielającą mnie od Henryki, i przejął mię tem srozszą boleścią, im większej radości oddawałem się przed chwilą.

— „Człowiek, z którym mówiliśmy w tym momencie, zostawał podobnoś w służbie porucznika d'Offanges?“ — odważyłem się wreście zapytać głosem stłumionym.

Po raz pierwszy wymówiłem to imię wobec Henryki. Moja towarzyszka zadrżała, i oddalając się odemnie jakimś ruchem pomimowolnym, ozwała się po chwili z wyrazem bolesnego zdziwienia:

— „Kto panu to powiedział? zkąd pan wiesz o tem? Więc znałeś Alberyka?“

Opamiętałem się w tym momencie, i zamykałem w sobie tajemnicę, której omało nie zdradziłem, starałem się przekonać Henrykę, iż imię Jana znam tylko z częstych opowiadań Marcellego.

— „Napróżno się łudziłam“ — szepnęła po chwili Henryka. — „Wspomnienie Alberyka przedziela nas na zawsze.... Właśnie ten człowiek świeżo mi je w pamięć przywołał... Ten Jan Sorel jest rzeczywiście owym starym żołnierzem, który towarzyszył Alberykowi we wszystkich wyprawach, a w czasie jego tajemniczego zniknięcia bawił na urlopie w ojczyźnie.... Daliśmy mu ten domek z ogródkiem i kawałkiem pola, wystarczającym do życia. Biedny! tak dawno go już nie widziałam! Przedtem wstępowałam do niego przynajmniej raz co tygodnia. On mi powtarzał ciągle: — Nie, pani, Alberyk nie umarł, on panią zawsze kocha.... on wróci lada chwila, i pocieszy nas sowicie za tak długi czas niespokoju i umartwienia. Ręczę, że będę jeszcze tańczył na państwa weselu. — Tak mię ustawicznie zapewniał Jan. Jeszcze niedawno lubiłam słuchać jego obietnic, i wierzyłam im mimo wszelkiego nieprawdopodobieństwa, jak

wierzymy chętnie wszystkiemu czego pragniemy... A dziś... o, dziś lękałam się najmniejszej wzmianki o Alberyku..... Przebóg! serce moje mniej wierne niż serce żołnierza...... starego sługi. O, zaiste zasługuję na wzgardę i politowanie.“

— „Henryko! Henryko!“ — zawołałem przerażony. — „Ukazawszy mi niebo przed chwilą, chceszże naraz wtrącić mię w otchłań piekielną?“

— „Słuchaj Pawle!“ — rzekła mi z smutną powagą. — „Nie chcę okłamywać ani ciebie ani też siebie samej. Mniemałam do niedawna, że po śmierci Alberyka nie będę mogła kochać już po raz drugi, że do grobu pozostanę wierną jego pamięci...„ Otoż omyliłam się we wszystkiem. Ty przybyłeś do naszego domu.... Marcelli przedstawił cię jako swojego wybawcę, brata... Ja nazbyt ufałam sobie, a uczuwszy wkrótce skłonność dla ciebie, uważałam ją z początku jedynie za cząstkę tego przywiązania, jakiem przejmuje mię Marcelli. Lecz skłonność ta stawała się coraz żywszą, a pod jej wpływem zaczął zacierać się w mojem sercu ten obraz, który miał tkwić w niem do śmierci. Wiesz to już Pawle... Wyjawiłam ci to przed chwilą. Czuję jednak iż bez ciężkiej przewiny nie wolno mi oddawać się nowym uczuciom, aż póki nie będę miała pewności o śmierci Alberyka..... Sam pan Bóg zesłał na moje opamiętanie poczciwego starca w tej chwili, kiedy wyjawiłam ci miłość moją. O, ten Jan — to żywe wspomnienie Alberyka, to widmo przeszłości, upominające mię ciągle, że nie jestem wolną jeszcze od dawniejszych węzłów i przyrzeczeń, że nowa miłość byłaby występkiem, bo lada chwila może zjawić się przedemną postać Alberyka“...

— „Więc gdyby Alberyk powrócił“ — szepnąłem z ponurą goryczą — „byłabyś znowuż jego?“

— „Ani jego, ani twoją.... Poświęciłabym się Bogu.“

— „A gdybyś się nareście przekonała o śmierci Alberyka, gdyby ci ją kto niezbitem udowodnił świadectwem?“

— „W takim razie, Pawle, nie miałbyś się o co pytać. Powtórzyłabym ci, że cię kocham, i zostałabym twoją żoną.“

— „Dobrze więc. Ja sam mogę ci dać tę pewność nieszczęsną.... W moim własnym ręku spoczywają dowody śmierci Alberyka....“

— „Wielki Boże! co mówisz! O, nie zakrywaj mi niczego, miej litość nademną!“

Rozpiąłem surdut, a wydobywszy z kieszeni zwój papierów, rozwinąłem go przed oczyma Henryki.

Ona poznała swój portret, swoje listy, i nagły wykrzyk przestrachu wyrwał się z jej piersi.

— „Któż jesteś?! — zawołała. — „Jakim sposobem posiadłeś te listy i ten portret? Czy otrzymałeś je od niego samego, czy wydarłeś przemocą? Żyjeż czy umarł?.... Oh, więc to nie Jan Sorel lecz ty sam jesteś tem złowrogiem widmem przeszłości..... Mów bo umrę..... Opowiedz mi wszystko, bo oszaleję...“

Przynaglony położeniem chwili, skołotany gwałtownem wzruszeniem, wreście uniesiony miłością, nie śmiałem, nie mogłem dopuścić się kłamstwa.

Opowiedziałem jej wszystko.

Śmiertelna bladość okryła twarz Henryki. Nie przerwała mi ani razu strasznego opowiadania. Ani jeden wykrzyk, ani jedno słówko żalu albo wyrzutu przeciwko mnie lub też Alberykowi, nie wymknęło się z jej piersi.

— „Biedna Luisella!“ — szepnęła tylko, gdym skończył moje opowiadanie.

Nastąpiło potem kilka chwil grobowego milczenia. Naraz zrobiła Henryka znak, że czas już wrócić do domu. Podałem jej ramię, lecz nie przyjęła go, wstrząsając z lekka głową. Potem wyciągnęła rękę po listy i portret, których nie myślałem już chować napowrót do kieszeni. Oddałem jej wszystko z ciężkiem westchnieniem.

— „Jestem tedy zbrodniarzem w twoich oczach?“ — zapytałem z rozpaczą.

— „Nie“ — odpowiedziała łagodnie — „tyś niewinnym.“

— „Więc mogę jeszcze mieć nadzieję?“

Henryka miasto odpowiedzi przyłożyła palec do ust. W najgłębszem milczeniu postępowaliśmy dalej, podobni dwojgu na śmierć skazanych.

Tuż przed zamkiem zatrzymała się Henryka, i rzekła z silnem postanowieniem:

— „Wieczór dzisiejszy spędzisz jak zwyczajnie w mojem i ojca mojego towarzystwie. Powróciwszy do swojego pokoju, znajdziesz na stole list.... Przyrzeknij mi spełnić moją wolę.“

Przyrzekłem uroczyście.....

W kilka godzin potem spotkaliśmy się w salonie, w towarzystwie hrabiego. Nie potrze-

buję mówić jak okropnemi były dla mnie te kilka godzin, spędzonych z szaloną burzą w piersiach a z pozornym, wymuszonym spokojem w twarzy.

Hrabia nie domyślał się niczego. Podczas gdy Henryka haftowała coś na krosienkach, on sam zaproponował mi partyę szachów.

Około godziny dziesiątej skończyła się nasza gra. Henryka skinęła na mnie, abym przed nią opuścił salon, a potem zwróciła się do ojca, i rzekła:

— „Zanim rozejdziemy się dzisiaj, pragnęłabym pomówić z tobą, mój ojcze.“

Pożegnałem się jak zwyczajnie. Hrabia ścisnął mię serdecznie za rękę. Do Henryki próbowałem coś przemówić, lecz ona tylko odkłoniła mi się spokojnie, i ani słowa nie rzekła.

Wyszedłszy z salonu, wpadłem w jednem mgnieniu oka do mojego pokoju. List leżał już na stole.

Rozpieczętowałem go, i wyczytałem co następuje:

„„Nie jesteś winnym, i kocham cię zawsze... Lecz zabiłeś Henryka, a to rozdziela nas na wieki. Nie mogę być twoją żoną, i nie możemy się więcej widzieć. Krwawy cień Alberyka stawałby ciągle pomiędzy nami. Nieszczęśliwa fosa w Mortarano jest bezdenną otchłanią, którą miłosierdzie boskie może wprawdzie zapełnić, lecz której nie wolno żadną miarą przekroczyć miłości ziemskiej.““

„„Luisella, biedna omamiona dziewczyna, i Alberyk, dusza na chwilę zbłąkana, zeszli oboje ze świata bez pocieszenia i modlitwy... Moim obowiązkiem modlić się za nich, i zrobić im ofiarę z serca, które nie powinno wzbogacać się ich puścizną, i nie chcę ustalać szczęścia swego na ich niedoli. Liczysz dopiero dwadzieścia i trzy lat, życie twoje dopiero się poczyna. Poświęcając się całą duszą zawodowi twojemu, zapomnisz może o dawnych uczuciach i cierpieniach. Mortarano i Montmeillan będą dla ciebie tylko dwoma snami z czasów młodości.... Ja zaś, Pawle, ja od chwili dzisiejszej przestaję należeć do świata żyjących..... Marcelli się ożeni... Jego żona, jego dzieci zastąpią mię ojcu staremu. Ja poświęcam się Bogu dla zbawienia tych co pomarli, za szczęście tych co żyją.““

„„Jeśli mię kochasz, Pawle, tedy nie będziesz próbował zachwiać mnie w postanowieniu. Odjedziesz jutro o świcie, unikając wszelkiego spotkania ze mną i moim ojcem. Nieobecność Marcellego ułatwi ci spełnienie moich życzeń..... Ja sama wyjawię im wszystko..... I bądź spokojny! Nikt z domu Montmeillan nie będzie złorzeczył twojej pamięci, ani obwiniał postępowanie twoje.““

„„Teraz bywaj zdrów, Pawle. Przed zerwaniem wszelkich związków ze światem, przed ostatecznem poświęceniem się Bogu, niech mi wolno będzie powiedzieć ci jeszcze raz, że cię kocham. Bóg przebaczy mi tę ostatnią słabość, którą zatrze żywot poźniejszy. Może te słowa ostatnie osłodzą w części bolesną osnowę całego listu. Bo że mię kochasz, o tem przekonaną jestem aż nazbyt dobrze.““

„„Żegnam więc, żegnam..... Ach, jakże mało mam odwagi! Potrzeba się już rozstać z tobą, a nie mam siły. Nie mogę się oderwać od tego listu, od tych słów ostatnich, jak od jedynej nici, która jeszcze wiąże mię z tobą.... O Boże przebacz mi, wesprzej mię. Zatrzyj w mojem sercu te uczucia ziemskie, które mię robią tak słabą i niegodną... Spraw o mój Boże! aby Paweł zapomniał o mnie, aby pokochał inną.....““

Po przeczytaniu tego listu stałem przez chwil kilka jak piorunem rażony. Potem pochwyciwszy za pióro, dopisałem na odwrotnej stronie listu następujące słowa:

„„Wczoraj powróciłem ci portret i listy, pisane do Alberyka, dziś oddaję ci jedyny list, który otrzymałem od ciebie. Nie mogę pozwolić na to, aby pismo, portret, albo samo imię panny de Montmeillan znaleziono w kieszeni oficera, który polegnie na polu walki.““

„„Jutro o piątej zrana opuszczę dom twego ojca. Jako żołnierz i Chrześcijanin nie mogę się zabić, lecz od tej chwili przestaję istnieć na świecie. Przyszłość, chwałę, nadzieje, wszystko to składam w jeden grób z tą miłością, którą dzisiaj złamałaś. Jestem kapitanem, będę nim i za lat trzydzieści, jeśli dożyję. Wszystko coby mię przywiązywało do świata żyjących, będzie mi nad wszelkie wypowiedzenie przeciwnem i nienawistnem. Po raz drugi wstępuję w ten dziwny stan, który nie jest ani życiem, ani śmiercią.““

„„Bywaj zdrowa Henryko! Widziałem cię, poznałem, pokochałem, pokochany nawzajem, a dziś żegnam cię na wieki. Człowiek, któryby po napisaniu tych słów ostatnich probował jeszcze prawić o boleści i rozpaczy, nie byłby godnym twojej miłości. Samobójstwo

chrześcijańskie, oto jedyny hołd. oddany tobie, godny tych nadziei, które się dzisiaj kończą, i godny cierpień, które się dziś poczynają. Żegnam cię na wieki.""

Resztę nocy spędziłem w krześle. Przed świtem spakowałem mój lekki tłumok, a skoro się tylko rozwidniło, wymknąłem się cicho z pokoju. Aby się dostać na schody, potrzeba było przechodzić poprzed pokój hrabiego. Stanąwszy tam pod drzwiami, posłyszałem nagle kilka ciężkich westchnień i kilka słów pocieszenia, boleści czy czułości, wyszeptanych urywanym głosem. Byłażto Henryka w pokoju hrabiego? Potrzebowałaż sama pocieszenia, czy udzielała go ojcu?... Nie dowiedziałem się tego nigdy.

Na ganku, przed głównemi drzwiami zamku, czekał mię służący hrabiego z osiodłanym koniem. Wskoczyłem nań jednym susem, a przytroczywszy do siodła mój tłumoczek podróżny, opuściłem co tchu dziedziniec. Pognałem ku miastu, gdzie mój pułk stał załogą.

Dotrzymałem słowa we wszystkiem. Trzydzieści dwa lat upłynęło od tego czasu, a umiałem dotąd pozostać w zacieniu, lubo nie dałem wyprzedzić się nikomu w pełnieniu obowiązku. W roku 1815 byłem kapitanem, jestem nim i dzisiaj, w r. 1848. Dopiero wczoraj dowiedziałem się przypadkiem o dalszych losach rodziny Montmeillan.

Wygasła zupełnie. Marcelli umarł tej zimy, jako wdowiec bezdzietny. Henryka, czyli siostra Cezaryna, umarła w r. 1835 w klasztorze Karmelitek.

Nie wiem czy z urojenia czy przez jakieś przeczucie nieodgadnione, dość że nie spodziewam się i ja sam dożyć nocy jutrzejszej.

Przyjm to moje zwierzenie się jako spowiedź ostatnią.

* * *

Na tem skończyło się opowiadanie kapitana Garbas. I rzecz szczególna! Owo przeczucie, o którem wspomniał na początku i przy końcu swojej powieści, nie omyliło go bynajmniej. Z brzaskiem dnia jutrzejszego mieliśmy gorącą potyczkę z Kabylami, a pierwsza kula nieprzyjacielska ugodziła w naszego kapitana, gdy na czele swojej kompanii posuwał się w pierwszym szyku bojowym.

Skonał prawie z radośnym uśmiechem na ustach.

Ostatnie jego słowo było: „Henryka!"

Opis niektórych miejsc Galicyi w r. 1685,

przez

Francuza w służbie króla Jana III.

(Ciąg dalszy.)

V.

JAZŁOWIEC.

W rozległej kotlinie na pochyłości niskiego wzgórza leży miasto Jazłowiec, zbudowane w kształcie amfiteatralnym, od szczytu wzgórza ku brzegom płytkiego lecz dość szerokiego strumyka. Wije on się wzdłuż całej kotliny, i okola szeroką wstęgą trzy małe wzgórki, które wszystkie były niegdyś pokryte domami i zabudowaniami miejskiemi.

Wtedy był Jazłowiec wcale okazałem miastem. Szerokie ulice ciągnęły się pomiędzy podwójnemi rzędami murowanych kamienic, przyozdobionych sztukateryami i napisami w języku ruskim i polskim. Na miejscach wynioślejszych wznosiły się murowane kościoły i cerkwie, przezco już zdala uderzało miasto bardzo powabną powierzchownością. W pobliżu kościołów łacińskich znajdowała się także okazała synagoga żydowska. U stóp pagórka, w głównej części miasta, wznoszą się cerkwie greckie z cmentarzem, pełnym piramidalnych pomników, z napisami w języku słowiańskim, podobnemi do napisów u niektórych kamienic w mieście.

Wszystkie opisane tu miejsca są dziś w stanie zupełnej ruiny po długich wojnach tureckich. Wszakże mimo tak straszne spustoszenie, widać przecież z pozostałych, na poły powalonych i mchem porosłych budynków i resztek murów, iż Jazłowiec był niegdyś jednem z najpiękniejszych i najbogatszych miast Polski.

Zajmował on, jak powiedziano, trzy wzgórza, przedzielone pomiędzy sobą, a opasane dokoła dość szerokim strumykiem. Co do wielkości mało ustępował Lwowowi, a w pewnych okresach czasu odbywały się w nim bardzo sławne jarmarki, na które zjeżdżali się kupcy ze wschodu, z Grecyi, Turcyi, Armenii i Arabii.

Nad miastem wznosi się od południa szerokie wzgórze, spłaszczone z wierzchołka, przechylające się nieco ku wyżynie, na której leży miasto. Z drugiej zaś strony rozpościera się to pasmo górzyste daleko ku północy.

Strumyk, który oblewa miasto, skręca się potem ku stopom góry, i okrąża ją w całej jej rozległości, podobnie jak rzeka Smotrycz opłukiwa stopy góry kamienieckiej. Przerzynając w licznych zakrętach całą dolinę, i wijąc się potem wpośród wielkich sadów i ogrodów, nadaje ten strumyk niewymownego powabu całej okolicy, objętej dokoła gór ramionami.

Góra w stronie południowej, o której już nadmieniłem, jest dość wysoka, a będąc przytem stromą i skalistą po trzech stronach, dozwala tylko od strony miasta przystępu.

Na tej górze wznosi się zamek z kamienia i cegły, zbudowany mocno lecz w nader nieregularnych kształtach. Przed bramą zamku ciągnie się obszerny plac ćwiczeń wojskowych, na którym może się uszykować wygodnie do trzech tysięcy żołnierza.

Na tymto właśnie placu trzymał się hetman polny już po zajęciu zamku, podczas gdy król z całą armią pociągnął wzdłuż Dniestru naprzeciwko Tatarów. Budowa zamku, acz nieregularna, nie nosi bynajmniej cechy starożytności. Baszty, okopy, narożniki na armaty, sklepienia, skrzydła, wały, lochy podziemne, celowały wspaniałością i warownością. Za toż raziła wielce ponurość mieszkań, przypominająca poniekąd Bastyllę paryską.

Dziś cały zamek leży w gruzach. Główna wieża zamkowa jest bardzo zniszczona, lecz małym nakładem dałaby się do dawnego przywrócić stanu. W r. 1672, t. j. w roku upadku Kamieńca i Buczacza, usadowili się Turcy podobnież i w zamku Jazłowieckim, i starali się ile możności obwarować go i ponaprawiać. W r. 1676 zniszczyli oni i wyludnili miasto do szczętu. W jednym z kościołów widać jeszcze ślady reparacyi i malowidła z czasów przed rokiem 1672. W grobach, czyli raczej na pół zasypanych kruchtach kościelnych, znachodzą się jeszcze całe trupy, co zdaje się świadczyć, iż podczas pierwszego napadu Turków miasto uszło zniszczenia. Przybyli tu pohańce dopiero w czasie drugiego napadu w r. 1676, i chcąc owarować się w zamku, usypali nowe okopy z chrustu i gałęzi na szczycie wzgórza, u stóp muru od strony miasta, tudzież w dolinie po obu brzegach strumyka, które zresztą wzdłuż całej góry poobsadzali szczepami i drzewami.

Wszystko to pozostało w tymsamym stanie po dzień dzisiejszy. Polski gubernator zamku, mianowany od króla po odejściu Turków, dołożył wszelkich starań, aby te ogrody tureckie zachować w najlepszym stanie, jako ozdobę miasta. (D. n.)

Rzezimieszek angielski. Niebawem będzie Londyn jedynem miastem angielskiem, które jako tako zdoła jeszcze utrzymać złodzieja kieszonkowego. Na prowincyi bowiem daje policya dowody niesłychanej czujności. Za przykład posłuży następująca powiastka, charakteryzująca wybornie policyanta angielskiego, który wtedy tylko śmie przytrzymać złodzieja, kiedy go na gorącym złapie uczynku: Dwóch znanych policyi rzezimieszków wybrało się niedawno na połów z Birminghamu do wschodnich hrabstw angielskich. Telegraf oznajmił natychmiast Brystolowi, jacy goście mają go wkrótce nawidzieć. Policyanci brystolscy czatują zaraz w dworcu kolei żelaznej na ptaszków zapowiedzianych. Widząc jednak, że ci nie myślą wysiadać, bo dopiero w Exeter umyślili założyć pierwszą stacyę swoich popisów, zbliżają się do wagonów, i oznajmiają podróżnym, z jakiemi gentlemenami muszą chcąc nie chcąc odbywać podróż. Dla większego bezpieczeństwa przesiedli się podróżni natychmiast do osobnych wagonów, a obadwaj złodzieje pozostali sami na swoich miejscach. Takiesamo ostrzeżenie ze strony policyi powtarzało się na każdej stacyi, gdzie tylko wsiadło kilku nowych podróżnych. Przez całą drogę nie złowili zadąsani rzezimieszkowie ani jednego zegarka, ani jednej sakiewki. Stanąwszy wreście w Exeter, powitał ich policyant grzeczną uwagą, że w tem mieście będą mieli nazbyt trudne zadanie, bo policya przygotowała się na ich przyjęcie. Oburzeni do najwyższego stopnia złodzieje umawiają się jechać do Barnetaple. „Nic to nie pomoże“ — przerwał im z uśmiechem policyant — „jadę z panami“. „W takim razie pojedziemy aż do Plymouthu“ — zawołali zdesperowani. „Napróżno!“ — zapewniał dalej policyant. — „Będę i tam telegrafował.“ „Nie masz tedy co robić na prowincyi“ — zawołali na to obadwaj z rezygnacyą. — „Wracajmy do Londynu.“ Policyant ukłonił się z zadowoleniem, i odprowadził obudwóch aż do wagonu.

Zegary życia. Przy ulicy Louis-le-grand w Paryżu mieszka pewien zacny mieszczanin, posiadający obok żony i czworga dzieci 25.000 franków rocznego dochodu. W jego salonie znajduje się sześć zegarów, które oprócz godzin, minut i sekund pokazują także dnie, miesiące i lata. Pierwszy z nich, puszczony w bieg z dniem jego własnych urodzin, wskazuje dziś 53 lat, 9 miesięcy i kilkanaście dni. Drugi świadczy o wieku żony, trzeci należy do najstarszej córki, liczącej 21 lat i kilkanaście dni; czwarty, piąty i szósty wskazują lata reszty dzieci. W ten sposób ma każdy członek rodziny ustawicznie przed oczyma dokładny regestr przeżytych lat, miesiąców, dni, godzin, minut i sekund, z czego łatwo się może przekonać, jak chyżem i znikomem jest to życie ziemskie. Złośliwe języki utrzymują, iż zegar matki i najstarszej córki nazbyt często podlega zepsuciu, i z każdym nowym rokiem spóźnia się coraz bardziej.

Przypowieści. — Chrzan się chlubi: „dobry ja z miodem!“ A miód na to: „kat cię prosi, dobry ja i bez ciebie.“

Kiedy się kogo chociaż raz nieszczęście imię. — I ucierając sobie nos, palec wywinie.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*